Numer 47. Nakł. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 23 Listopada 1930**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Świadek.

Sędzia: Ty Izaak, jako świadek, powiedz, jak to było, bo ci obaj się skarżą, że się pobili.

Izaak: Ny, proszę pana sędziego, bo tak było: Przyszedł Paweł i siadł sobie, i dał wódki i pije, tak samo Jan. Potem, ni z tego ni z owego, łap za łeb jeden drugiego, potem się krew lała, ale ja nie wiem z kogo, czy z chłopa, czy z kija.



Na drodze.

— Jak się macie, Bartosie?

— Niosę gęsiora w kosie.

— Jak się tam ma mój stryk?

— A on nie pstry, jeno siodłaty.



Słuszny żal.

Pani majstrowa kładzie przy obiedzie uczniowi na talerz maleńki kawałeczek mięsa, a chłopiec w płacz.

— Czego płaczesz? — pyta pan majster.

— Ach! — odzywa się chłopiec — ja płaczę nad tym biednym wołem, którego dla takiego maleńkiego kawałka mięsa musieli zabić!

Dobre interesa.

Icek: Tate, zrobiłem geszeft!

Ojciec: Jaki geszeft?

Icek: Dostałem od jednego chłopca nowy grosz za dwa stare.

Ojciec: Aj waj, jakiś ty głupi! Czy nowy, czy stary, to wszystko zarówno — dwa stare, to jeszcze raz tyle, co jeden nowy!

(Po dwóch dniach przychodzi Icek z dwoma podartemi i pomiętoszonemi kapeluszami).

Icek: Tate, ale dziś zrobiłem fajn geszeft! Za mój nowy kapelusz, dostałem dwa stare.



Dziewczyna wiejska prowadzi osiełka do domu i śpiewa sobie wesoło.

— Pewnie cię kto pocałował, żeś taka wesoła? — pyta przechodzący panicz.

— Czy to całowanie dodaje wesołości?

— Naturalnie! — odpowiada panicz.

— No — rzecze dziewczyna — to wielmożny panicz niech będzie tak dobry i pocałuje mojego osła, bo ten okrutnie smutny!



Skarga męża.

Przed ślubem aż wspomnieć miło,
Serce Kaśki dla mnie biło,
Po ślubie ku mojej udręce
Nie serce bije, lecz ręce.

Numer 47. Rok XIII. Kraków, dnia 23 listopada 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy, Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Dobre i złe gazety.

Nadeszły długie wieczory, coraz mniej pracy przy gospodarstwie, a więc coraz więcej pozostaje czasu na rozrywkę umysłową, jaką bezsprzecznie jest czytanie gazet i książek. Niezadługo Nowy Rok. I niejeden z światlejszych ludzi staje przed zapytaniem, jaką sobie gazetkę na przyszły rok zaprenumerować, aby być z niej zadowolonym. Oczywiście chciałby jak najlepszą, bo przecież za swoje ciężko zapracowane pieniądze nie chce do domu sprowadzać byle jakich śmieci, ale rzecz użyteczną, którąby mu przyniosła nietylko godziwą rozrywkę, ale i należyty pożytek.

Ba, ale które gazetki są pożyteczne, a które szkodliwe? Jedni zachwalają tę, a drudzy inną tak, że niedoświadczony człowiek nie wie, którą sobie ma wybrać.

Najgorsze, naszem zdaniem, to są tak zwane gazetki polityczne. Wprawdzie ten i ów zachwala tę lub tamtą gazetkę polityczną, twierdząc, że ona broni społeczeństwo przed różnymi ciężarami, walczy o dobro wieśniaka i robotnika i t. p. Baj baju, będziesz w raju! Żeby to prawdą było! Przejrzyjmy roczniki gazetek politycznych, a przekonamy się, że w 52 numerach każdej z tych gazetek, obejmujących po 4 kartki, a więc 208 kartek w roku, zaledwie na jakich 30 do 40 kartkach znaleziemy coś pouczającego dla czytelnika; reszta to ujadanie na rząd, to oszczerstwa na swych sąsiadów, to kalumnie na swych przeciwników politycznych. Bo zasadą naszych politykierów jest: jeżeli się nie zgadzasz z mojem zdaniem, toś łotr, szubrawiec, oczajdusza i t. p. Oto hasła, któremi się dziś kierują tak zwane gazety polityczne.

I nietylko gazetki ludowe, ale i gazety przeznaczone dla tak zwanej inteligencji, dla ludzi uczonych. Myślałby kto, że gazeciarze, pisząc swe kłamstwa, czynią to w dobrej wierze i gdy spostrzegą swą pomyłkę, odwołają ją w najbliższym numerze gazetki. Gdzież tam! To dyskredytowałoby ich wśród czytelników, a więc milczą, albo starają się rzecz całą wyjaśnić z korzyścią dla siebie. Jako przykład, przytoczymy fakt z niedawnej walki wyborczej. Przed rokiem został zasądzony na więzienie działacz komunizującej lewicy socjalistycznej Andrzej Czuma. Przy wyborach do sejmu na liście okręgowej BBWR. w Nowym Sączu został postawiony Dr Ignacy Czuma, profesor katolickiego uniwersytetu w Lublinie. Wiedziały o tem gazetki partyjne, jak „Naprzód", „Gazeta Warszawska" i inne, wyzyskały jednak jednakowe brzmienie nazwisk i dalejże na BBWR, że nazwisko b. działacza komunistycznego umieścił na swej liście. Uczciwość nakazywałaby sprostować kłamstwo, ale toby przecie zaszkodziło partjom, więc lepiej było milczeć. Podobnych przykładów możnaby przytoczyć wiele.

Partyjne gazety nie mogą więc być dobremi gazetami. Natomiast do dobrych gazet należy zaliczyć te, które podają czytelnikowi dobrą strawę duchową, które go informują bezstronnie tak o zdarzeniach politycznych, jak i o wszystkich przejawach życia codziennego, które mu dają godziwą rozrywkę i przynoszą prawdziwe pouczenie. A takich gazet, na szczęście, i u nas w Polsce nie brak. Na taką gazetkę pieniędzy nie szkoda, bo treść jej nietylko dziś zajmie czytelnika, ale gazetkę taką mogą z korzyścią czytać i następne pokolenia, podczas gdy gazetka polityczna po przeczytaniu może najwyżej przydać się na podpałkę do pieca.

Dlatego też każdy rozsądny człowiek powinien pędzić precz od siebie wszelkie śmiecie partyjne, dy-

szące jadem nienawiści ku swym przeciwnikom politycznym, a zamiast tego zamówić sobie uczciwą, bezpartyjną gazetkę, która mu prawdziwą korzyść przyniesie.

WŁAD. DUNAROWSKI (WOSNAK).

Zwierciadło na dachu.

(Nowela).

Luli — luli... wołała wtedy Duminka, odrywając się od roboty, by lekkiem uderzeniem nogi wprawić w ruch kołyskę i tem samem uspokoić małego organistę, który nie zawsze tem się zadawalał. Wymowny wzrok matki biegł wtedy na ścianę, za którą rozlegały się różne walce i polki.

Dumin nie wyrzekł się swych upodobań. Nowy klarnet sprowadził sobie aż z Wiednia, by godnie pokazać się przed ludźmi, skoro nadarzy się ku temu sposobność.

I tak rok za rokiem. Dużo pozmieniało się na świecie, tak samo w ludziach jak i w Duminie, ale z jednym klarnetem nic się nie zmieniło.

Tak aż po dziś-dzień.

Późno już było. Noc parna i duszna. W górze rozsypany różaniec gwiazd.

Dumin stanął przed progiem swej chaty i chwycił za klamkę. Wnet znalazł się w ciemnej sieni. Jednak sobie tego nie uświadamiał. Bowiem w głowie szumiały mu bez przestanku nierozpylone jeszcze w powietrzu dźwięki trąb, oraz jego klarnetu.

Ostatnia była próba. Za tydzień zjazd w Krakowie chórów słowiańskich. W popisach wezmą udział także włościańskie kapele. Rodzima pieśń ludów słowiańskich zacieśni węzeł braterstwa i rozwinie u stóp „Zygmunta" kwiat swojej duszy. Zachłyśnie się nią dzwon wiekowy, nasyci aż do ostatka. Gdy potem dźwięk wyrzuci, nie będzie to już ów dawny, schorzały, ale ten nowy, świeży i mocny — i dalekosiężny. Usłyszą go codzień i Praga złocista, i stara Bratislawa, i hen dalej na południe mieszkający — i na wschód.

Dumin szedł omackiem, kierując się w stronę izby, gdzie sypiał. Sień była długa a drzwi w samym końcu. Więc zabłądził. Zamiast klamki dotknął się szczebli drabiny, prowadzącej na strych. W jednej chwili uczuł po całej skórze mrowie przelatujących skier. Zamęt w głowie. Szalony wir myśli. Nieznośna duszność w powietrzu.

Burza będzie, czy co?

Oparł się o drabinę i zaczął się jakby nad czemś zastanawiać. Łowił myśli długo, mozolnie.

W izbie zapewnie jeszcze większy gorąc — ani mowy o spaniu być nie może.

Więc gdzie?

Położył nogę na szczeblu, potem drugą. Zawahał się. — Iść dalej, wgórę, czy nie? Na strychu jest siano, chłód... Nie zawadzi.

Ani się spostrzegł, jak znalazł się na ostatnim szczeblu. Już. Pod nogami plącze się siano, świeże, pachnące. Byle gdzie można się cisnąć i spanie gotowe. Ani na łóżku, pod pierzyną i przy babie, tak nie będzie, jak wśród tego aromatu zaszuszonych traw.

Lecz Dumin jakby o tem zapomniał. Jakby nie wiedział, poco tu przyszedł. Stał w miejscu i nadsłuchiwał.

Dlaczego?

Czyżby zapomniane echo przyniosło strzęp zabłąkanej pieśni, czy dźwięki muzyki?

Nadsłuchiwał.

Szept... głos jeden i drugi... oba ściszone, ciepłe, serdeczne, przytulne...

Może to wiatr tylko... Chyba nie ludzki szept. Teraz... wśród nocy? Skądżeby! Ostatecznie jeden głos — nie mówię. Mogłaby spać Wikta. Zdaje się, przy grabieniu coś napomkła o tem. — Jak tylko chłopy zwiozą siano, zaraz przenoszę się ze spaniem na strych. Leżenie miękuśkie... i jak w perfonach. Pachności coniemiara! — Niechby sobie spała — siano przez to nie zniszczeje. A choćby tam trochę się zmięło, niewielka strata. Zaś dziewce takiej jak Wikta trza wygodzić, bo robotna i we wszystkiem dogodzi.

Dumin postąpił parę kroków, łowiąc coraz wyraźniejsze szepty dwojga osób.

Poznał głos służącej i Jantka.

Krew uderzyła mu do głowy, zakipiała. Ale się powstrzymał od wybuchu. Cofnął się nawet, aby przypadkiem nie zdradziło go serce, które waliło w piersiach, jak zębate koło motoru, spuszczone z hamulca — regulatora.

Łotr!... wyrodek!...

Już miał się rzucić na nich z butami, skopać bez upamiętania, bez litości aż na miazgę, ale się znów cofnął.

Któż wie, co mogliby ludzie potem gadać... Do posądów są oni bardzo skorzy. A przecież każdy wie, że on tu całkiem niemyślęcy... w rozespaniu... z gorąca... Ale tłumacz się tam ludziom! Nie starczyłoby języka. Zresztą, wszystko na świecie jednakie gadziny. Najlepszy przykład — Wikta. Teraz dopiero poznał Dumin, co znaczyły jej uśmiechy, przymilania, oraz te wszelkie podlizywania i zabiegi o jego łaskę. Przejrzał ją na wylot. Mydliła oczy ojcu, by służby nie stracić, by być blisko jego syna. Podła! I on sam. Zwłaszcza — że dał się tak łatwo wywieść w pole.

Zapiekły go nagle wszelkie jej uśmiechy i te gorące spojrzenia. Nie była jego. Potrzeba było dopiero tej nocy ciemnej, aby przejrzał. Coś tam się wewnątrz wzburzyło, coś urwało, ale on, Dumin, przejrzał na oba oczy. Wściekłość go brała, ale się przemocował w sobie i zgryzł wszystko w skamieniałem milczeniu.

— Ale że dziewka podła — to podła! Ktoby się spodział?... Z chłopaka także kawał łajdaka. Gołowąs jeszcze, a do czego się to zabiera! Czego to mu się nie zachciewa!... Widać, że brak matki... Zato jest ojciec, który wszelkie wybryki potrafi ukrócić. No... i jeszcze jak!

Młodzi gwarzyli spokojnie, nie przeczuwając strasznej walki, jaka się o kilka kroków przed nimi toczyła.

Zaś w ojcu aż kipiało. Żeby nie ryknąć na cały głos, włożył pięść w usta, zaciskając ją zębami aż do krwi. Gdy zeszedł na dół, zaczął się oganiać po sieni, jakoby dopiero powrócił. Nie zważając na nikogo, trzaskał drzwiami i walił butami o podłogę, raz po raz wydając ze siebie dziki pomruk.

Duminka, choć przebudziła się natychmiast, udawała, jakoby nic nie słyszała. W obawie, aby się dziecko nie wybiło ze snu, zaczęła poruszać kołyską, która swojem nieznośnem: skrzy-skrzyt... strzy-skrzyt... wnet wypełniła całą izbę, odbierając

każdemu ochotę do spania. Dopiero, gdy chłop zasnął, a jej ręka całkiem zdrętwiała, zaprzestała kołysania. Lecz sama zasnąć nie mogła. W oknie szarzało już nadchodzącym porankiem. Zauważywszy to, podniosła nieco głowę i zaczęła bezszeleśnie poruszać wargami, odmawiając poranne pacierze.

Rano nastał sądny dzień. Końską uprząż zgryzły króle. Jantek zaklinał się, że powiesił na haku jak zawsze, i zupełnie nie jest w stanie wytłomaczyć, jak to się stać mogło. Że powiesił — mógłby zaprzysiądz.

Lecz ojciec nie o przysięgę wołał, tylko o uprząż. Wóz stał już wytoczony — gotowy do drogi. Jantek kręcił się bezradnie, zwiesiwszy głowę ku ziemi. Mimo to widział, jak ojcu twarz pęcznieje i krwią zachodzi. Jak drgają mięśnie a brwiami zachodzą oczy. Jak się coś w nim gromadzi, napełnia, przelewa... jeszcze nie, ale zaraz, za chwilkę.

Już.

Głowa — nie głowa, oczy — nie oczy, nos, uszy, plecy — wszystko staremu jedno. Zrazu walił Dumin pięścią, ale ta wnet go zabolała. Złapał więc biczysko i grubszym końcem jął okładać wijącego się po ziemi chłopaka, który upadł, oszołomiony pierwszemi uderzeniami.

— Ty psiabeskurcyjo!... ty!... ty!... zapadleńcu jeden... ty!... ty!... czarcie nasienie!...

Charczał już tylko, dławiąc się coraz bardziej ludzką mową. Zamiast słów — ślina kapała mu z ust na brodę i piersi.

W pewnej chwili wściekłość, wywołana nieludzkiem sponiewieraniem, postawiła Jantka na nogi. W ręce trzymał spory kamień. Z czoła i ust sączyła mu się krew.

— Co ojciec myśli?... Czy ja pies?...

Zdumiał się Dumin: jeszcze nigdy syn tak mu się nie postawił. Rzecz niesłychana. Aż mu ręka opadła. Wnet się opamiętał. Podszedł do oczu chłopaka i bryzgnął mu słowami prosto w twarz:

— Wyrodek!... W nocy łajdaczy się z dziewkami po strychach, a za dnia kamieniami na ojca się zamierza!... Patrzcie go!...

Jantkowi wypadł kamień z ręki. Wtedy Dumin trzasnął go jeszcze biczyskiem przez głowę, poczem zabrał się do wtaczania wozu pod stodołę.

— — — — — — — — — — — — — —

— Ciepło wam?

Duminka ocknęła się. Jakże to się stało, że ją zamroczyło? Siedząc na kamiennych schodach przed progiem — zdrzemła się chwilkę. Niedzielnem słońcem rozpalone kamienie grzały mocno. Ani się spodziała, jak ją to obłapiło; niewiedzieć jak i kiedy. Poprostu wierzyć nie chciała. Ale stara Marcinka widziała. Akurat musiała nadejść!

— Zdrzemnęliście się...

— Ee... kęjbyta... Tak ino na śpas, moiściewy. Cłek przez całe noce nieraz oka nie zmruży ze zgryzu, a co dopiero za dnia...

Sąsiadka pokiwała głową. Po chwili zauważyła:

— Waskiemu ładna pogoda wydarzyła się na drogę.

Duminka popatrzała po niebie, jakgdyby sprawdzić chciała słowa Marcinki.

— Ano... ładny mają odpust w Starem Mieście.

— Co nie mają mieć; na Kunegundę prawie zawdy tak bywa.

Marcinka dźwignęła wierzchnią spodnicę, świąteczną, i usiadła obok Duminki, przedtem sumiennie zbadawszy, czy aby ten kamień nadaje się do takiego zaszczytu. Boć przecie niedzielna spodnica — to nie byle co.

— Wasz z kapelą poszedł?

Duminka nie mogła zrazu wyrozumieć, co w tych słowach się mieści: wyrzut czy ironja? Jednakże zaczęła się żalić i usprawiedliwiać.

— Widzicie... na odpust — to nie mówię, bo na chwałę Bożą...

— Juści, juści — przytakiwała sąsiadka, podwijając uroczyście kościelną spodnicę.

— Ale z tego, jak się włóczy po jakichś Krakowach, nie wiedzieć za czem i poczem — to już wyrozumieć nie mogę. Jakby nie było na co grosza wyrzucić!

— Słuśnie. Szkoda czasu i mitręgi.

— Ale co tam mówić! Jego już nic nie przeinacy.

— Nie mówcie. Ustatkuje się jeszcze waski, ej ustatkuje. Cłek na świecie zrazu niewiedzieć czego sam chce, ale potem prawie każdy się ustatkuje.

— Chyba nie za mnie. Był już czas na to... tyle lat... A tymczasem wciąż jeden i ten sam zgryz.

— Kto może wiedzieć, czy był czas? Czasem jedna godzina więcej zrobi niż dziesiątki lat.

Duminka pokiwała bezradnie głową.

— A cóż z Jantkiem... słabuje?

Matka westchnęła żałośnie, dając tem poznać, że choroba Jantka przyprawia ją o poważne obawy.

— Nic nie lepiej?

— Moiściewy...

Jak też miarkujecie: z czego to mogło przyjść na niego?

— Bo to człowiek co wymiarkuje? Wola boska i tyle!

— Tak to na tym świecie bożym, ej tak!... A cóż mówi doktór na tę chorobę?

— Słuchać tam doktórów!... Plecie cosi, że Jantkowi musiało coś paść na mózg i beż to tak słabuje. Ale kęjta. Jemu coś na wnętrznościach dolega: albo mu coś zaległo na żołądku, albo się oberwał.

Doświadczona Marcinka przyznała rację.

— Najprędzej to. Latem mordęga za mordęgą, o oberwanie nie trudno. Jako młody, rwie się do wszystkiego, chciałby się w niejednem postawić, a tymczasem kości u tego jeszcze krewkie.

— Zgryz za zgryzem, moiściewy.

— Wola Boska...

— Po doktorze tyle mu łacfi, że tak nim nie ciska i już tak nie wonituje. Tyle — coby nic. Szkoda kosztów. W mowie, jak nie miał poskładu, tak nie ma.

Na drodze zaczęły się pokazywać gromadki ludzi, idących ze sumy. Marcinka zerwała się z miejsca.

— Trza iść, kasę wycynić, bo „nasi" na obiad wnet przyjdą. Wy dziś macie spokój — zwróciła się do Duminki. — Wasz nie wróci, aż kiedy na jutro wieczór.

Duminka pokiwała smutnie głową.

* * *

Lato mijało. Zdaleka, z poza rzeki, zalatywał zapach jesieni. Czysty, rzeźki, pozornie uśmiechnięty, ale w istocie smutkiem melancholijnym i wzrastającą tęsknotą zaprawiony.

Duminowi zachciało się pokrycia dachu szopy dachówką. Wszystkie inne zabudowania już dawno stały pod dachówką, jedynie z szopą zwlekano. Co tam szopa — może stać pod byle jakiem przykry-

ciem. Wtem nagle przyszła Duminowi myśl, żeby to nie źle wyglądało, gdyby cały komplet zabudowań miał jednaki dach.

Nie pytając się nikogo o radę, postanowił. Zwiózł dachówkę, zwołał rzemieślników — i sprawa skończona. Wprawdzie dopiero zaczęta, ale u Dumina początek tyle znaczy co koniec.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ofiary wódki.

Ciemna noc otuliła miasto, którego mieszkańcy pogrążyli się w błogim kamiennym śnie. Niczem niezmącona cisza zaległa wszystkie zaułki miasta, tylko w piwiarniach wrzało jeszcze życie.

W jednej z nich poza szerokim stołem siedziało kilku wytwornych gości, gwarząc przy pełnych szklanicach piwa. Wesoło tu było i gwarno jak w ulu, a chociaż już dawno wybiła dziesiąta na starym, kurantowym zegarze, nikt nie myślał stołu opuszczać.

Nagle drzwi piwiarni otwarły się z łoskotem i przed rozbawionymi gośćmi stanął jakiś mizerny chłopczyna z rozwichrzonym włosem i w podartej odzieży. Potoczył błędnym wzrokiem po obecnych, jakgdyby obawiał się czy go nie wyrzucą, poczem odezwał się bezdźwięcznym głosem, w którym drgała jakaś dzika rozpacz:

— Dobrzy panowie! Pomóżcie! Pożyczcie nieszczęśliwemu „piątki" na lekarstwo dla chorej matusi!"

Tu umilkł, jakgdyby bał się więcej powiedzieć.

Goście spojrzeli po sobie znacząco.

— Odczep się głupcze! — ofuknął wreszcie jeden przybysza.

— Precz za drzwi kretynie! — poprawił drugi!

Chłopczyna stanął, jak skamieniały, potem dzikim śmiechem wybuchnął i, skłoniwszy się nisko dostojnym gościom, wypadł z piwiarni.

Czemżeż sobie zasłużył ten biedny chłopiec na nazwę głupca i kretyna? Czemuż narzucał się z tak dziwną prośbą, za którą spotkał się z wyzwiskiem i groźbami? Ot, historja krótka, a tak u nas pospolita.

Rok będzie temu, gdy matka chłopca, wyczerpana trudami i ogromem pracy, runęła chora na garść barłogu. Biedny mąż, Jan, przywołał czemprędzej lekarza, ażeby chorą żonę ratować. Lekarz przyjechał, zbadał chorej puls, zapisał leki i odjechał. Jan polecił synowi, ażeby czuwał nad matką, sam zaś zabrał ostatnią w domu pięciozłotówkę i cichutko opuścił izdebkę, śpiesząc po lekarstwo do apteki.

Noc ciemna panowała już nad miastem. Z wysokiej wieży ratusza miejskiego odzywały się złowrogo puhacze, czasem jakiś zbłąkany pies uliczny żałośnie zakwilił i umilkł strwożony.

Jan, niepomny na otaczające go ciemności, szedł śpiesznie. Nieszczęście jednak chciało, że gdy miał minąć otwarty dotąd szynk, poczuł w sobie ogromną, nieprzepartą chęć wychylenia bodaj jednego kieliszka wódki.

— Jeden nie zaszkodzi — pomyślał — a potem pośpieszę dalej!

I niewiele myśląc, wstąpił do szynku. Kto na lód wejdzie, łatwo się może pośliznąć, kto w głębinę się rzuci, łatwo może utonąć. Tak było i z Janem. Wychyliwszy jeden kieliszek szatańskiego trunku, zażądał czemprędzej drugiego. Ale i te dwa nie wystarczyły, a djabeł, zwabiwszy upatrzoną ofiarę do swej matni, tak długo trzymał ją w swych szponach, aż ta przetrwoniła wszystko do ostatniego grosza. Pijany na umór wytoczył się nieszczęśliwiec na ulicę, chwilę błądził chwiejnym, niepewnym krokiem, aż po drodze napotkał na świeżo wykopany kanał... jeszcze krok jeden... i stoczył się w przepaść głęboką.

Tymczasem syn stał u wezgłowia chorej matki i często wlepiał przez przymglone okno łzawy wzrok w ciemności, czekając niecierpliwie na powrót ojca. Chora wiła się w boleściach, chłopak chłodził zimnemi okładami jej rozpalone skronie i pocieszał nieszczęśliwą.

— Boże mój, Boże! — szeptały jego blade wargi. — Czemuż mię ojciec nie posłał? Jużby matusia dawno leki miała!...

Wtem suchy kaszel szarpnął piersiami chorej. Ocknął się chłopak i pochylił się nad matką. Wzrok swój synowski wlepił w jej wychudłą twarz, a widząc na niej wyryty ból, zerwał się, mówiąc:

— Matusiu! Ty cierpisz, a ja tu stoję bezczynny! Wybiegnę naprzeciw tatusia, może już powraca z lekami!

I wypadł z pokoju.

Zaledwie ubiegł kilkadziesiąt kroków, gdy nagle do uszu jego doleciały ciche, ledwie dosłyszalne jęki. Jakaś gwałtowna boleść i mimowolny strach szarpnęły sercem chłopaka, ale przezwyciężył się i postąpił w kierunku jęków, aby udzielić nieszczęśliwemu pomocy. Nagle stanął jak wryty. Boże, czyżby mu się zdawało? Nie, słyszy przecież wyraźnie...

— Panienko Najświętsza! — krzyknął rozpaczliwie. — To tatuś mój jęczy! Ludzie, ludzie... Ratunku!...

Lecz krzyk jego spotęgowany ponurem echem, zginął w mrocznych zaułkach miasta. Z wysokiej wieży kościelnej odezwał się złowrogo puhacz, czasem wicher zadzwonił w szyby okien, to znowu zapanowała cisza przejmująca, straszna. Chłopak zebrał resztę odwagi i w bezbrzeżnej rozpaczy zawrócił ku domowi.

— O mamo! mamo! — tatuś! — jęknął, stanąwszy na progu izdebki. I przypadł do łoża.

Nagle jakgdyby pod silnem uderzeniem pięści, odskoczył w tył i upadł na podłogę... Chora nie żyła... Sierota zerwał się na równe nogi, z ust posypały się bezładne słowa, to rozpaczy, to jakiejś radości dzikiej, oczy pałały mu błędnym ogniem; po chwili jął skakać po izdebce i obalać sprzęty, zaciskając kurczowo pięści... Biedak... oszalał!...

Od tego czasu widzi ciągle w swej wyobraźni chorą matusię, błąka się samotnie po ulicach miasta, a napotkanego prosi o „piątkę" na lekarstwo. Gdy zaś ciemne mroki nocy spowiją miasto, wtacza się nieśmiało do piwiarni i tu przed gośćmi roztacza swoją nędzę. Ale jak to widzieliśmy na wstępie, nikt nie zlituje się nad jego strasznym losem i chyba mu kiedyś z głodu i zimna skończyć przyjdzie.

Franciszek Gabzdyl.

Marzenie moje...



Marzenie moje!... Ja nie chcę byś było,
Jeno młodzieńczej tęsknoty... mogiłą!...
Czy umarłych śnień wspomnieniem! Udręką!
Albo żalu do świata jeno wielką męką!

Wiem, że mnie wkońcu odprawiasz ot z niczem!
Z kołyski mojej po mogilną ziemię!
Wiem, że mnie wkońcu odprawiasz ot zniczem!
...A jednak Cię nie odrzucę nigdy me marzenie!

Jacek Orlik.

Jan Zamojski w gościnie u Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu.



Któż z nas nie zna przepięknych pieśni Jana Kochanowskiego: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, albo „Czego chcesz od nas Panie?“ Wiadomo też, że Jan Kochanowski miał córeczkę Urszulkę, która licząc zaledwie trzy lata, mówiła pięknymi wierszykami. Pamiętne są słowa Urszulki, wyrzeczone do hetmana Zamojskiego, gdy odwiedził Kochanowskiego w Czarnolesiu. Gdy bowiem Zamojski rzekł do dziewczynki, iż ją z sobą zabierze, ta odpowiedziała: „Nie! Ja dziewczyna, tobie trzeba syna! Mnie weźmie kto inny, aniołek niewinny!“ Na obrazie, którego odbitkę zamieszczamy powyżej, malowanym przez Karola Millera, widzimy Kochanowskiego, siedzącego z Urszulką pod lipą, a na lewo Zamojskiego, zbliżającego się ku nim.



Casem to na człowieka tak niespodziewanie jakiesik niescęście spadnie, ze ani sie spostrzeze, a ono juz obłapiło go obiema rękami i bez litosierdzia tarmosi. Tak bywa z ciężką chorobą, tak bywa z bolemiem brzucha i tak samo bywa z kochaniem. Cłek zaraz po urodzeniu nie kocha się rok, dwa, a casem i więcej, ale prawie zawse, jak podrośnie i kłaki mu zacną na górną wargę wyłazić, to prawie razem z niemi przychodzi w parze i miłowanie. Zdarza się to przeważnie koło osiemnastego roku, casem wcześniej, a casem później. Im kto ma lepsy rozum i kwardziejsą naturę, to przychodzi ono później, a prawie nima wypadku, aby nie przychodziło nigdy. W tem ino różnica, ze miłowanie miłowaniu nierówne. Jednemu upodoba się sama dzieucha i w niej sie zakocha, inksemu ulubią sie tatusiowe morgi, a jesce inksemu zesłorocna jałówka, ale prawie kuzden cosik kocha i bez tego sie obejść ni moze.

Tak bywa prawie z kuzdem, tak było i z Jaśkiem Paznotkiem, ino co on nie rozmiłował sie ani w jałówce, ani w morgach, ino w Maryśce Wachalownie, co mu tak wlazła jednego wiecora do serca, ze jej stamtąd obcęgami nikt nie byłby mógł wyciągnąć. Posed tedy do ojców Maryśki i powiada:

— Ach, ojcowie mili... prose, byście mi Maryśke kochać pozwolili!

A ojcowie, jako ze Jasiek był chudobny, pedzieli mu:

— Nie mozna, nie mozna romansować z dziewcyną, bo to rzec jest zdrozna!

Cóz miał bejdak robić? Jak ni mozna, to ni mozna, ale ze to serce nie sługa i nie zna, co to pany, więc nazajutrz Jasiek zakochał się śmiertelnie w Margośce wójtównie. Posedł więc do wójta, co kieruje gminę i powiada:

— Pozwólcie, bym kochał dziewcyne!

— Nie wolno! — z oburzeniem pan wójt zaraz woła — póki ślub was nie złączy wśród murów kościoła!...

I znowu biedny Jasiek bez całą noc nie mógł utulić poranionego przez wójta serca. Biedził sie do samego rana, ale kiedy ino słonko rano zza plebańskiej stodoły wyźrało, rozmiłował sie okrutnie w Hance, pokojówce od jegomości. Nie trzeba mu brać tego za złe, bo serce nie sługa, nie zna co to pany....

Posedł więc Jasiek do jegomości i powiada:

— Ccigodny kapłanie! Cy Hanke wolno kochać? Cy grzych jest kochanie?

A jegomość, uchwyciwszy cybuch do garści, ze świętem oburzeniem padają:

— Nie wolno, nie pozwolę na taką rozpustę!!... Czy nie wiesz, jak opiewa przykazanie szóste?...

Zasumował sie bidne Jaścysko, chociaż nie znał dobrze przykazań Boskich, ale wierzył jegomości, ze to szóste przykazanie musi być strasecnie ostre, kiedy niem jegomość tak strasą. Bał sie więc i szóstego przykazania i jegomości, ale ni mógł nijakiej rady znajść, zeby sie przestać kochać, bo to przecie wiadoma rzec, ze serce nie sługa, nie zna co to pany. Trzeba se było jakoś zaradzić, aby to bidne serce uspokoić, któremu się na jego niescęście zachciało kochać. Kiedy na miłowanie nie chcą pozwolić ojcowie, kiedy nie chcą się zgodzić wójt, kiedy nawet jegomość strasą szóstem przykazaniem, to trzeba posukać jesce kogoś mądrzejsego od nich, zeby dał jakąś radę na to utrapienie. Posedł tedy Jasiek do Pana Boga i powiada:

— Przenajświętszy Boże! Czy pozwolisz mi kochać dziewcze piękne, hoże?

Na to się Bóg roześmiał, a z nim wszyscy w niebie:

— Wszakże, biedaku, dziewczęta stworzyłem dla ciebie! Wszakże kochania niema zabronione nikaj!. Kochaj je, ile zechcesz, ale... ich nie tykaj!

Uciesony Jasiek ucałował Pana Boga w buta i odtąd kuzdą dziopę, jaka ino jest na świecie, miłuje bez upamiętania i juz sie nie boi ani wójta, ani jegomości, ani szóstego przykazania.

Czarna trumna.

W lesie za owych czasów bajcznych, żyli zbójcy, rabując przechodniów, co się dało. Razu pewnego napadli na bezbronną panienkę i uprowadzili ją do swej jaskini.

— Darujemy ci życie — powiadają — za to atoli będziesz nam gospodarzyła, gotowała, gdy wyjdziemy z domu.

Panienka zdecydowała się na usługi i przyrzekła pozostać im wierną.

Gdy wychodzili, zamykali ją w mieszkaniu. Zdarzyło się, że zostawiwszy ją niezamkniętą, natrafił na nią podróżny. Wszedłszy śmiało, zagadnął:

Za jałmużną zacna panno,
przybywam tu porą ranną.

Panna obdarowała go kromką chleba, nie zważając, jak podróżny wetknął jej we włosy zaczarowaną szpilkę.

Po dokonaniu takiej zbrodni wydalił się, a dziewczyna padła nieżywa.

Gdy wieczorem powrócili bandyci do domu, rzucili się ją ratować, ale bezskutecznie. Rada w radę, trzeba ją należycie pochować. Zakupiono na ten cel trumnę czarną z dzwoneczkami i pięknie ustrojoną, zawieszono ją razem z ciałem na wysokim dębie.

Niedługo nadjechał książę pan, a posłyszawszy głos dzwonka, kazał stanąć — w przewidzeniu, że jedzie ksiądz do chorego. W tem zdało mu się, że to przewidzenie, ale patrząc dokoła, spostrzega trumnę na drzewie, mówiąc:

— Jakóbie, zdejmiesz tę trumnę a zobaczę, kto tam pochowany.

Stało się. Na widok pięknej panienki, książę pan rozkazuje służącemu trumnę zabrać do powozu.

W domu rozebrano panienkę, by ją uczciwie pochować na cmentarzu.

Co za cud! Przy czesaniu dziewczyna, gdy szpilka wypadła, otwiera oczy i przychodzi do życia. Książę pan oświadczył jej ze szczegółami, jak się to stało. A że był wolnego stanu a panna mu się bardzo podobała, postanawia ślub i bierze ją za żonę. Cudowne to zdarzenie ma miejsce w bajce, dlatego powiadamy:

Wierzcie mi starzy i dzieci, — że tylko w bajce coś tak się kleci!

Edward Gutkowski.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Australja.

Uczeni długo zgodzić się nie mogli, do jakiego szczepu zaliczyć Australczyków. Mają oni cerę niezupełnie czarną, włosy długie, gładkie, czarne, oczy zapadnięte, brodę gęstą, wargi cienkie, nogi proste. Zdaje się, że przywędrowali oni z Azji najpierw do Afryki, a stamtąd pomieszani z Papuasami dopiero do Australji.



Przygotowanie pożywienia

Australczycy nie oddają czci żadnemu bóstwu, ale wierzą w istotę wszechmocną, która stworzyła świat cały. Mają oni również pojęcie o życiu pozagrobowem. W drodze mlecznej widzą odzwierciedlenie strumienia, na którego brzegach zmarli ich zajmują się rybołostwem, a w obłoczach gwieździstych, w okolicach bieguna południowego, widzą dwie czarownice, powieszone za swe zbrodnie. Słońce jest wielkim przyjacielem Australczyków, księżyc zaś nieprzyjacielem; mówią, że to on chowa przed nimi zwierzynę, zabiera małe dzieci i t. p. i z tego powodu przeklinają go często. Lubią gwiazdy, bo one są dziećmi słońca.

Przedmiotem największej obawy dla nich jest wąż, którego jednak nikt nie widział; siedzi on ukryty w głębi wód i zabija każdego, kto z nich pije w nocy.

Australczycy, jakkolwiek dzielą się na pokolenia, nie stanowią społeczeństw gromadnych, lecz żyją oddzielnie rodzinami, a w niektórych tylko okolicznościach zbierają się gromadniej. Najstarszy z rodziny jest zarazem jej naczelnikiem, a władza jego jest niezawisła. Są jednakże zwyczaje powszechnie przyjęte. I tak, nie wolno się żenić przed oznaczonym czasem i w swojej rodzinie; nie wolno polować i szukać pożywienia, tylko na gruncie, na którym się kto urodził i t. p.

Taniec jest ulubioną zabawą Australczyków. W jesieni odbywają się większe zebrania i zabawy długo trwające. Obierają zwykle obszerną łąkę, otoczoną lasem i tam przybywają tłumnie ze stron najodleglejszych. Zabawa zaczyna się od polowania na kangura, potem z przyniesionych zdobyczy przyrządzają ucztę obfitą, a te spożywszy, gotują się do tańca.

Jak prymitywne jest sporządzanie pożywienia, widzimy to na naszym pierwszym obrazku. Oto jeden z krajowców sprawia upolowaną zwierzynę, drugi przez tarcie krzesze ogień, a jakiś misjonarz, którzy i tam rozszerzają swą działalność, niesie wiązkę gałęzi.

Kto chce podczas tamtejszej zabawy brać udział w tańcu, stroi się w pióra i maluje ciało; inni zapalają ogniska i koło nich siadają. Zresztą malowanie ciała u Australczyków jest bardzo rozpowszechnione. Malują oni smugi pionowe i poziome białą i czerwoną farbą, wskutek czego wyglądają, jakby pokryci kratkowaną materją. Można to zauważyć na naszym drugim obrazku. Oprócz tego są u Australczyków w zwyczaju nacięcia skórne. Są to długie i głębokie szramy zarysowane po ciele zapomocą muszli lub ostrego kwarcowego kamienia; im te szramy są głębsze, tem są piękniejsze. Jedną z ozdób, wyłącznie przez Australczyków używaną, jest wbijanie sobie w chrząstkę nosową cienkiego kawałka drzewa lub ości. Bolesna ta operacja odbywa się zwykle w 17 roku życia. A odbywa ona się w ten sposób, że do chrząstki nosowej przykładają kawałek drzewa ostro zakończony i opalony w ogniu i uderzają weń mocno pięścią. Koniec przechodzi na drugą stronę i chrząstka jest już dostatecznie przedziurawiona. W chrząstkę wydrążoną zakładają przygotowaną ość lub drewienko i wszystko skończone, z wyjątkiem bólu.



Narzynanie ciała.

Ale wróćmy do tańców. A więc najpierw wybierają przewodnika tańca. Staje on w środku i zaczyna wyprawiać rozmaite skoki, raz prędkie, to znów powolne, a inni tancerze, przyśpiewując, naśladują go. Dziwaczne te ruchy, wykonywane czasem bardzo zręcznie przez czarne, świecące się od tłuszczu postacie,

migotanie piór różnobarwnych, które zdobią tancerzy, odgłos dzikich śpiewów, szczęk broni, przy blasku ognisk wśród ciemnej nocy sprawia wrażenie jakiegoś piekielnego igrzyska. Zabawy te przeciągają się późno wnoc, a raczej do dnia białego.

W ciągu dnia odbywa się rodzaj przedstawień teatralnych. Kilkunastu aktorów, wybranych ze zgromadzenia, przedstawia jakieś zdarzenie: polowanie na kangura albo bitwę. Wszystkie przejścia polowania lub bitwy oddane są z wielką prawdą; inna część aktorów opiewa przez ten czas czyny wielkich wojowników lub myśliwych. Kobiety nie biorą nigdy udziału w tych przedstawieniach.

Gdy małe dziecko przybywa rodzinie na świat, matka zaraz po urodzeniu obsypuje je popiołem, potem obmywa wodą, owija w skórę kangura i zaczyna karmić. Mężczyźni, należący do rodziny, skoro usłyszą kwilenie nowonarodzonego dziecka, pytają zaraz, czy chłopiec, czy dziewczyna. Gdy matka odpowie, że dziewczyna, wtedy nie ruszają się z miejsca; gdy zaś odpowie, że chłopiec, wówczas zrywają się z okrzykami radości i biegną na polowanie, aby matce przynieść coś do pożywienia. Po trzech dniach matka przynosi dziecko ojcu, który nadaje mu imię według okoliczności lub z powodu jakiegoś przypadku.

Jeżeli dziecko jest niedołężne lub kaleka, to zabijają je; jeżeli trzecia córka przychodzi na świat, to matka powinna ją udusić; czasem nawet już druga córka z rzędu ulega temu losowi. Częste bywają wypadki, że na śmierć skazane dzieci przybiera za swoje inna bezdzietna rodzina.

Mimo tak barbarzyńskiego obyczaju Australczycy kochają bardzo te dzieci, które zachowują przy życiu. Ta miłość rodzicielska dochodzi nawet do największej słabości tak dalece, że dzieci nie bywają nigdy karane, z czego powstaje zbytnia poufność do rodziców. Bardzo często kilkoletni malec, chcąc coś otrzymać, bije i kąsa ojca lub matkę, a oni mu to płazem puszczają.

Australczycy mają zwykle po dwie żony: jedną dorosłą, a drugą małą. Ta mała jest na to, że gdy się pierwsza podstarzeje, aby mogła mu ją zastąpić. — Jeżeli biorą więcej żon, czynią to zwykle wtedy, gdy chcą w ten sposób opiekować się wdową po zmarłym krewnym lub bracie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Starościc znowu usta wykrzywił z goryczą.

— Możesz teraz śmiało ojca jej ogłosić warjatem, szaleńcem... Umarły dla świata, umarły dla siebie samego, nie podniesie on głosu na swoją obronę... Ale kiedy chciwą rękę wyciągniesz po jego, komu innemu przekazany majątek, wtedy wystąpi ona, córka potajemnie, ale prawnie uznana i jednem słowem udaremni twoje niegodne trudy i zabiegi.

Hrabia wyprostował się w całej swej postawie, a żal i boleść malowała się w jego twarzy.

— Bracie! — zawołał rozrzewnionym głosem, zakrywając twarz rękoma. — Nie zasłużyłem na ten ostatni zarzut.

Starościc wstrząsł się zlekka, jakby mu się nagle żal zrobiło brata.

— Więc Żachlewicz na własną działał rękę? — zapytał skwapliwie.

Hrabia chwilkę milczał, jakby chciał przytłumić naprzód swe gwałtowne wzruszenie.

— Prawda — rzekł naraz ze skruchą i wylaniem — zawiniłem wobec ciebie w latach młodzieńczej lekkomyślności i nierozwagi, ale czyż mię zaraz mniemasz zdolnym do jednego niegodnego uczynku przyłączać i drugi? O nie, nigdy, przenigdy! — zawołał i wzdrygnął się z odrazy.

I po chwili obopólnego milczenia zabrał głos na nowo i wyspowiadał szczerze i otwarcie, jak dla przesadnych i ułudnych widoków ambicji dał się obcej namowie nakłonić do nieszczęsnego procesu, którego żadnymi dwuznacznymi nie myślał popierać środkami, a którego skutek pomyślny chciał okupić ręką swej córki jedynej.

Starościc drgnął na to ostatnie zeznanie.

— Przeznaczyłeś ją Juljuszowi? — zapytał z dziwną skwapliwością.

— Dopiero po takiem postanowieniu dałem się uwieść niecnym namowom przeniewierczego oficjalisty.

— Alboż Juljusz kocha twoją córkę?

— Tak mi się zdaje, czyli raczej tak mi się zdawało w początkach poznania.

Starościc odetchnął.

— A twoja córka? — zapytał po chwili.

— Eugenja jest bardzo dobrze wychowaną — odpowiedział prędko hrabia ze znaczącym przyciskiem.

Starościc machnął ręką z ironicznym uśmiechem.

— To jeszcze nadzieja nie stracona! — mruknął.

I nagle krótką chwilę wypatrzył się w niemem milczeniu na wzruszoną twarz brata i cofając się o krok w tył, wstrząsł głową jakby chciał jakieś gwałtowne przytłumić rozrzewnienie.

— Bracie! — zawołał nagle i rozwarł szeroko ramiona. — Zapomnijmy co było!

— Mikołaju! — wykrzyknął hrabia ze łzami w oczach i rzucił się w objęcia brata.

. . . .

I długą chwilę trzymali się obaj bracia w czułym, serdecznym uścisku. Po raz pierwszy uderzyły ich serca rodzinnem ku sobie uczuciem, a sprzeczne dusze w bratniem zetknęły się porozumieniu.

— Zygmuncie!

— Mikołaju! — wykrzyknęli obydwaj jednocześnie, i nowym serdecznym zespoili się uściskiem.

A stary Kozak, co dotąd zimny i obojętny na pozór stał na uboczu, zaczął nagle obydwu rękoma ocierać zwilżone oczy, a przyskakując ku obydwom pojednanym braciom, w rozrzewnieniu ściskał ich kolana.

— Sława Bogu! sława! — szeptał z głębokiem nabożeństwem.

A podnosząc oczy ku hrabiemu, odezwał się drżącym ze wzruszenia głosem:

— Przebaczcie mi jasny panie, za surowo was sądziłem!

A w tej chwili jakby Anioł zesłany z Nieba na utwierdzenie bratniej zgody, jakby genjusz opiekuńczy szlachetnej rodziny, pojawiła się we drzwiach ukrytych niebiańska postać Jadzi.

— Moja córka! — wykrzyknął starościc.

— Jadzia — zawołał hrabia i wyciągnął ku niej ramiona.

Jadzia była strasznie blada i jakby cierpiąca. Ubrana w bieli jedną rączkę trzymała na szarfie jedwabnej.

— Mój ojcze! — wykrzyknęła swym dźwięcznym anielskim głosem i postąpiła naprzód.

Starościc pochwycił ją za wolną rękę.



...I trzymali się chwilę w czułym uścisku...

— Twój stryj, Jadziu! — zawołał stawiając ją przed bratem.

Hrabia z uczuciem przycisnął młodą dziewczynę do swych piersi.

— O nie, nietylko stryj — zawołał silnym głosem — Mikołaju! ja cię już pojąłem, odgadłem przyczynę twej śmierci udanej, i twego obecnego przebrania! Żyj bez troski... Ja będę opiekunem, ojcem twej córki...

I znowu powtórzył się serdeczny uścisk obydwu braci.

A nie spostrzegli nawet w swem wzruszeniu i zajęciu, że przed chwilą głośny na dworze rozległ się świst, a Kost Bulij szybko wyszedł z pokoju.

Jadzia nie znająca całej tajemnicy ojca, wypatrzyła się zdziwionemi i prawie przestraszonemi oczyma w jego twarz rozrzewnioną.

Kilka słów wyświeciło jej cały stosunek.

— Ja to sam jestem owym mniemanym nieboszczykiem starościcem, o którym niejednokrotnie słyszałaś! — zawołał ojciec, a stryj uzupełnił resztę.

— Ale ten pożar! wasze ocalenie! — wykrzyknął nagle hrabia, przypominając sobie całe to dziwne zdarzenie.

Starościc spoważniał na samo wspomnienie tej chwili.

— Cudem tylko uszliśmy śmierci — przemówił i oczy wzniósł ku Niebu. Omylony bezzasadnem podejrzeniem, zapóźno przybyłem na miejsce pożaru. Cały dom już prawie dogorywał, ale jakaś dziwna i cudowna opieka Boska czuwała nad moją córką. Pozbawiona przytomności leżała na ziemi całkiem nieuszkodzona. Rozpacz nadała mi jakiejś nadziemskiej herkulicznej siły i energji. Wypadłszy w pośród płomieni, wyrzuciłem jedną ręką przez okno upadającego bez ducha Katilinę, a drugą uniosłem szczęśliwie Jadwigę...

— Uniosłeś gdzie? którędy — poderwał hrabia prędko i ciekawie.

Na ustach starościca lekki zaigrał uśmiech.

— Przypominasz sobie zapewne — rzekł — że pod dawniejszem mieszkaniem ogrodnika znajdowała się obszerna piwnica, przeznaczona na przechowywanie korzonków i cebulek kwiatów.

— Prawda, prawda! — zawołał hrabia żywo.

Starościc z uśmiechem ciągnął dalej:

— Kost' Bulij zajmując mieszkanie ogrodnika, w pierwszej izbie chaty w kącie pod szerokim przypieckiem sporządził nowe drzwi do środka, a nadto ukrytym w krzakach wyłomem połączył piwnicę z ogrodem.

— A na cóż to? — zapytał hrabia mimowolnie.

Starościc uśmiechnął się ze znaczeniem.

— W chacie Kostia Bulija — ciągnął cokolwiek zniżając głos — odbywałem posiedzenia. Lękając się zdrady i nagłego obskoczenia, przygotowaliśmy sobie drogę do ucieczki.

— Ah! — wykrzyknął hrabia i uderzył się w czoło. — Tędy uciekliście!

— Na nieopisaną zgrozę chłopów i Girgilewicza — dorzucił starościc wesoło.

Hrabia w nagłem zamyśleniu pokiwał głową.

— Pojmuję teraz wszystkie straszne wieści o zaklętym dworze.

Starościc uśmiechnął się smutno.

— Niestety, dziś już nie ubezpieczają mnie one jak dawniej... Pojawienie się wobec tylu świadków przy pożarze ściągnie zapewne komisję, śledztwo, poszukiwania... Jeszcze tej nocy muszę uchodzić z tych okolic.

— Na zawsze? — zapytała Jadzia z lekkiem drżeniem.

Na ustach starościca smętny zaigrał uśmiech.

— Moje dziecię — poszepnął — umarli nie należą do siebie i nie znają żadnych węzłów i względów ziemskich.

— Nie rozumiem cię ojcze — wybąknęła strwożona dziewczyna.

Starościc wyprostował się w całej postawie, twarz jego przybrała dziwnie smętny i uroczysty wyraz, oczy osobliwszym migotały blaskiem.

— Powiedziałem wam już kochani — ozwał się po chwili z silnym naciskiem — że umarłem dla świata, dla siebie samego, dla was i dla wszystkich co mię znali. Starościc Mikołaj Żwirski nie żyje! Lepsza część jego istoty, jego duszy i natury, odrodziła się do nowego bytu poświęconego, oddanego jednej wyłącznie myśli. Na grobie starościca wziął namaszczenie swoje, kum Dmytro.

. . . .

Uroczyste słowa starościca, przerwał nagle głośny wykrzyk.

Przed chwilą już stanął w progu niespostrzeżony Juljusz wraz z Kostiem Bulijem, który jak wiadomo na posłyszany świst na dworze wyszedł z pokoju.

Wszystkich oczy zwróciły się ku nim.

Jadzia zadrżała jak listek, a na bladej jej twarzy żywy rozlał się rumieniec.

Juljusz stał jak wryty na miejscu.

— Nieboszczyk starościc! — mruknął przerażony.

Starościc podskoczył ku niemu i chwytając go za rękę, zawołał jakby dokończając zaczętą przemowę.

— Tak, nieboszczyk! nieboszczyk w całem pojęciu tego wyrazu!

Juljusz stał na boku drżący jak listek. Rumieniec okrywał mu lica, szlachetny blask bił z oczu.

— Panie — odezwał się naraz wzruszonym ale pewnym i stanowczym głosem — do twoich wielkich zamiarów potrzeba i wielkich środków. Po-

znawszy twoje cele, nie mogę żadną miarą zatrzymać twego daru. Składam go napowrót w twoje ręce, rozporządzaj nim raczej ku tryumfowi twojej idei.

Starościc z radością i uczuciem spojrzał na młodzieńca. Ścisnął go serdecznie za rękę i rzekł z widocznem rozrzewnieniem:

— Zatrzymaj go zacny młodzieńcze i działaj nim w swoim zakresie. Mnie pozostały środki dostateczne. Prócz znacznej zatrzymanej gotówki posiadam inne obfite źródło. Ojciec mój nieboszczyk powierzył mi w jednej ze swej chwil jasnych, że w dworze znajduje się ukryty znaczny skarb familijny w złocie.

Juljusz wstrząsnął głową niezachwiany w swem postanowieniu.

— Ależ panie, jam ci zupełnie obcy, a ty masz córkę!

W oczach starościca zagadkowy zamajaczył promyk.

Spojrzał bystro na młodzieńca, który z zachwytem i uwielbieniem wpatrzył się w tej chwili w cudną postać dziewicy.

Twarz starościca zajaśniała, a dziwny uśmiech przemknął mu przez usta.

Pochwycił jedną ręką Jadwigę, drugą, przyciągnął bliżej Juljusza.

— Tak, mam córkę, córkę jedyną, ubóstwianą, brat Zygmunt przyrzekł jej być ojcem, a ty Juljuszu, mój synie, czemże chcesz być dla niej...

— Bratem czy mężem? — dodał po chwili.

Jadzia krzyknęła i drżąca i zapłoniona skryła twarzyczkę na piersiach ojca.

Juljusz stał chwilę niemy i nieruchomy, jakby nagłe szczęście olśniło i pozbawiło go przytomności.

—Ojcze mój! — krzyknął nagle na pół szalony z radości i przyciskając gwałtownie jego rękę do ust, bezwiednie i mimowolnie pochylił się na kolana do stóp dziewczyny.

I prześliczna grupa utworzyła się w tym ponurym, blado oświetlonym pokoju.

Starościc ze swą natchnioną, nadziemskim blaskiem opromienioną twarzą dziwnie wspaniale wyglądał śród tych nadobnych postaci, drżących pod gwałtownem wzruszeniem i natłokiem wspólnych uczuć i nadziei!

Na boku stał hrabia poważny i imponujący, wzruszenie malowało się na jego twarzy, łzy lśniły w oczach, a w tyle za nim ukląkł stary Kozak, drżał jak listek ze wzruszenia i zalewając się łzami szczęścia i radości mruczał z ułożonemi na piersiach rękoma w prostocie swej duszy poczciwej i szlachetnej:

— Boże! daj im tylko to, czego warci!

KONIEC.

Chytrość żydowska.

(Wesołe opowiadanie z dawnych lat).

Było to za dawniejszych czasów, kiedy to przy wojsku służyli ośmnaście lat. W czasach tych żył pewien młodzieniec, nazwiskiem Franciszek Okar, który posiadał średni majątek, a jego wuj dotrzymywał na niego ten grunt.

Powołano wnet naszego Franciszka do wojska. A że w tych czasach była bieda, a wuj dla niego był niedobrym, więc chłopak posiadał na drogę tylko 1 złr., zaś u żyda w karczmie wziął 18 jaj gotowanych, mówiąc, że jak się wróci, to mu zapłaci.

Wyszło 18 lat, kiedy Franciszek wrócił z wojska. Ze zdziwieniem zobaczył, że żyd mieszkał na jego gruncie. Wskutek tego Okar zaskarżył żyda do wyższego sądu. Skoro przyszły pozwy, żyd przedstawił rachunek, że gdyby był podsadził ośmnaście jaj pod kurę, to byłoby ośmnaście kur; kury za rok byłyby zniosły tyle a tyle jaj; te jaja zaś gdyby był znów podsadził, to byłoby tyle a tyle kur i t. d. Żyd obliczył to wszystko za lat ośmnaście tak chytrze, że suma przenosiła znacznie wartość majątku. Na podstawie owego rachunku sąd wydał niesumienny wyrok na naszego Franciszka.

Okar wyszedł z płaczem ze sądu. Zobaczył go jeden mądry góral i pyta się, dlaczego płacze. Gdy mu Franciszek opowiedział wszystko, góral rzekł do niego tak:

— Idź, zaskarż jeszcze raz żyda, a jak przyjdzie termin, to się odwołaj na swego obrońcę, to jest na mnie, aż on przyjdzie.

Okar posłuchał górala.

Gdy przyszedł termin, pomimo że upłynęły trzy godziny, góral nie przychodził, lecz Franciszek — w myśl rady — ciągle odwoływał się na obrońcę. Dopiero o godzinie wpół do dwunastej przyszedł góral. Sędzia, zobaczywszy go, począł się gniewać na niego, dlaczego oznaczonego terminu nie wypełnił. A góral na to:



— Przepraszam prześwietny sąd, nie miałem czasu, bom groch gotował, a potem go siał, a jak zajadę z powrotem, to go będę żął.

— Kto to widział, żeby warzony groch rósł — począł się śmiać sędzia.

— A przepraszam prześwietny sąd — rzecze góral — a kto słyszał, żeby z gotowanych jaj były kurczęta?

Sędzia poznał się na żarcie, ale to właśnie uratowało majątek Franciszkowi. *S. Ch.*



Poradnik gospodarczy.

Babka jako roślina gospodarcza.

Najwięcej spotykana u nas roślina w stanie dzikim rosnąca, jest babka lancetowata (Plantago lanceolata), na którą żadnej uwagi nie zwracamy, a rośnie ona masowo prawie że we wszystkich okolicach.

Do dziś coprawda, nie miała tak dużego zastosowania, obecnie zaś jest poszukiwana w lecznictwie.

Pomimo swego rozpowszechnienia babkę należy plantować, co się lepiej opłaca, jak każda przeciętna roślina gospodarcza (żyto, owies i t. p.).

Można też zbierać w stanie dzikim rosnącą, lecz to jest praca bardzo mozolna, ponieważ ona nie rośnie gromadnie, lecz pomieszana z inną rośliną, najczęściej w trawach. Należałoby wtenczas po listku wyskubywać, co przychodzi z trudnocią, gdyż posiada mocne i ciągliwe włókna utrudniające wyrywanie liścia; no i jest towarem gorszej jakości.

Polecam zatem plantować babkę, bez żadnego wahania się, że pociągnie za sobą straty, przez to może nawet, iż towar produkowany nie będzie kupiony, to trzeba być pewnym, że w każdej ilości będzie kupiony i zapłacony podług cen normalnych, nawet do 1 kg.

Zapotrzebowanie na liście jest duże, i nie należy wątpić, a wziąść się do energicznej plantacji co da pomyślne dochody.

Weźmy się teraz do samej uprawy, a łatwość takowej zachęci lepiej do plantowania.

Celem każdej uprawy, jest osiągnięcie największego zbioru, a więc największego dochodu z ziemi.

Pod uprawę należy brać miejsce słoneczne, albo półcieniste, lecz nie zacienione.

Ziemię pod uprawę należy brać lekką, zawierającą sporo próchnicy, wilgotną, dobrze użyźnianą, ponieważ przy braku wilgoci liści będzie mniej i krótkie. Ziemia nadaje się piasczysta, ale urodzajna, czarnoziem gliniasty, czarnoziem piasczysty i lekkie glinki, a mniej brać gliniaste, no nawet możnaby było, lecz trzeba rozluźniać zwięzłość gliny. Doskonale nadaje się na suche łąki, lecz bez śladu darniny, nawieźć nawozem i dopiero siać babkę. Najwłaściwszym nawozem pod babkę będzie paroletni kompost, doskonale przegniły i wolny od chwastów, mogących zanieczyścić ziemię, a po nim następuje przegniły obornik.

Głębokiej uprawy babka nie wymaga, gdyż zadowalnia się płytką warstwą rodzajną, a musi być dobrze wynawożona.

Perz i inne chwasty korzeniowe później już nie są możliwe do wyniszczenia, muszą być wybrane doszczętnie przed uprawą.

Najlepiej siać babkę po okopowiznach oraz na wilgotnych owsiskach.

Po okopowych ziemię się tylko równa i wałuje, a po owsie trzeba orać, czyścić z chwastów, wynawozić, zorać powtórnie, poczem zwałować, a następnie lekko wyrównać grabiami bez poruszania głębiej, potem przystąpić do siewu.

Można siać rzutowo tak, by nie było pustych przestrzeni, a zaleca się siać rzędowo, w odstępach nie gęściejszych 9—10 cm. wykonując siewniczkiem amerykańskim rzutowem zmieszając nasienie dobrze z piaskiem, gdyż jest bardzo drobne. Na siew rzutowy zużywać nasienia 6—8 kg, a na rzędowy 4 kg. na morgę. Po wysiewie gdy spadnie deszcz i wklepie nasiona w ziemię, dając dostateczną wilgoć, to babka szybko wschodzi, a jak jest susza, to długo leży w ziemi nie wschodząc. Plantacje można nawet kosić, mając żyzną ziemię, dostateczną ilość wilgoci, a zasiane zwartemi rzędami, to babka, musi rosnąć w zwyż wydłużając się.

Pożądane jest coroczne zasilanie babki, rozcieńczoną gnojówką, daje obfite plony.

Co 2 lata trzeba zasilać kompostem na jesieni.

Przed koszeniem wyrywać chwasty, by nie zanieczyszczały zbioru. Wcześnie należy kosić, aby nie ścinać pączków kwiatowych, które przy zwartym wzroście będą ukazywać się późno i w małej ilości.

Zebrane liście suszyć na strychach albo w suszarniach specjalnych, bo na słońcu tracą wartość leczniczą.

Plon z dwóch pokosów z morga suchych liści wynosi 800 kg., za co można otrzymać 1 zł. za 1 kg. suchych liści.

Co to czyni 800 zł. z morga a żadna gospodarska roślina tego dać nie może.

Ktoby zaś się zainteresował tą plantacją, to może się zwrócić do C. T. O. i T. R. w Warszawie, Kopernika 30, wydz. ogrodniczy, o zbycie tego produktu oraz można sprzedać w firmie „Herbarium“ w Warszawie, ul. Krochmalna 62; wyczerpujących informacyj mogę udzielać listownie w związku z tem.

Alfons Kryński,
Szyce k. Krakowa, poczt. Modlnica.
Wiejski Uniwersytet Ludowy.

Jak rozpoznać wiek u gęsi?

Chcąc przekonać się o wieku gęsi, należy szukać na zewnętrznej stronie jej skrzydeł, ponad największemi piórami, dwóch małych, wąskich zaostrzonych bardzo delikatnych, ale mocno osadzonych piórek. Jedno z tych piórek bywa zwykle większe i ono to ma na sobie znaki, stanowiące rejestr lat gęsich.

Znaki te, czyli kreski, znajdujące się na zewnętrznej stronie pióra i są jak gdyby ukośnie wyżłobione trójgraniastym pilnikiem.

Po upłynie każdego roku nowa kreska ukazuje się na powierzchni pióra i stanowi nieomylne świadectwo przeżytych przez gęś lat.

Poradnik lekarski.

Otrucia. Silne kwasy lub ługi wywołują już w ustach oparzenia także w przełyku lub żołądku. Inne trucizny zaś działają trująco dostawszy się do ogólnego obiegu krwi. Trucizny wywołują prawie zawsze wymioty i biegunkę; są to objawy pożądane, które nie należy tłumić, lecz nawet wywoływać sztucznie, jeśli za długo się nie pojawiają. Jeżeli trucizna jest wiadoma to trzeba podawać choremu odtrutkę, t. j. ciało, które działanie trucizny niweczy. Jeśli nie wiemy o jakości trucizny, to należy podać choremu dużo wody, lub mleka z białkiem. W przystępie boleści gorące okłady.

Wynik wyborów do Sejmu.

Wybory niedzielne do Sejmu, jak było zresztą do przewidzenia, skończyły się olbrzymiem zwycięstwem Marszałka Piłsudskiego. Na 444 posłów Bezpartyjny Blok współpracy z rządem uzyskał w okręgach 203 mandaty, zaś z listy państwowej otrzyma dalsze 45 tak, że będzie miał ogółem w Sejmie 248 głosów. Stanowi to więc znaczną większość, wskutek czego rząd będzie mógł sprawnie przeprowadzać wszelkie ustawy. BBWR zgłosił swe kandydatury we wszystkich 64 okręgach i we wszystkich przeprowadził przynajmniej po jednym pośle, w innych po 2 i 3, a w niektórych wszystkich. Do tych ostatnich należą: Nowy Sącz, Kowel, Krzemieniec, Brześć, Pińsk, Nowogródek, Lida i Święciany.

Znacznie wzmożona na siłach wyszła Narodowa Demokracja, która w poprzednim Sejmie miała 37 mandatów, a obecnie uzyskała 54, a razem z listą państwową 64. Uzyskali oni mandaty przeważnie w b. Kongresówce, w Poznańskiem i na Pomorzu. Nie dopisała im natomiast Małopolska i Kresy wschodnie. W Małopolsce zdobyli bowiem tylko 4 mandaty, a mianowicie w okręgu krakowskim 2 i rzeszowskim 2. Na Kresach uzyskali tylko w okręgu wileńskim 1 mandat.

Natomiast Centrolew został niemal zupełnie rozbity. Pięć połączonych stronnictw, a mianowicie PPS, Piast, Wyzwolenie, Stronnictwo chłopskie i NPR. zdołały przeprowadzić zaledwie 67 posłów, razem z listą państwową 79. O rozmiarze porażki może świadczyć fakt, że w roku 1928 sami socjaliści uzyskali 63 mandaty. Dziś, gdy Centrolew rozpadnie się na pięć grup, socjalistom nie zostanie więcej jak 24 do 25 mandatów. Najgorzej na spółce wyszedł Piast, który będzie liczył w nowym Sejmie do jakich 15 posłów, podczas gdy np. w Sejmie 1922 roku miał ich 70. Zdaje się, że i z tych 15 niektórzy przejdą do obozu Marszałka Piłsudskiego.

Dużą klęskę ponieśli Ukraińcy i złączeni z nimi Białorusini, gdyż przeprowadzili zaledwie 18 posłów, razem z listą państwową 21. Z pomiędzy tych 21 posłów jest 20 Rusinów, a 1 Białorusin. Uzyskali oni dlatego tak mało mandatów, gdyż wielu wyborców ukraińskich oddawało swe głosy na jedynkę, nie chcąc mieć nic wspólnego z podpalaczami.

Wprost katastrofalnie wypadły wybory dla Niemców. W poprzednich sejmach mieli oni po kilkunastu posłów, przy obecnych wyborach przeprowadzili ich zaledwie 5, z czego 3 na Górnym Śląsku, a 2 w Poznańskiem. Jako rzecz pocieszającą zaznaczyć należy, że na Pomorzu, pomimo rozbicia głosów polskich, nie uzyskali ani jednego mandatu.

Znaczną też porażkę ponieśli i żydzi. W poprzednich sejmach mieli po kilkunastu posłów, przy obecnych wyborach przeprowadzili ich zaledwie 7, z czego 4 w samej Małopolsce.

Chrześcijańska Demokracja zatrzymała niemal dawny swój stan posiadania, ale tylko dlatego, że nie miała zbyt wiele do stracenia. Przeprowadziła ona ogółem 12 posłów, wraz z listą państwową 14. Ratuje ją jeszcze Górny Śląsk, gdzie zwolennicy Korfantego uzyskali 7 mandatów. Ponadto otrzymała ona w okręgach: Białystok, Grodno, Częstochowa po jednym mandacie, w okręgu Łuków 2 mandaty, zaś w Małopolsce wskutek zjadliwej polityki „Głosu Narodu“ nie otrzymała ani jednego mandatu. A szkoda, gdyż jest to stronnictwo, które w swym programie posiada wiele cech dodatnich.

KRONIKA.

Tegoroczna zima. Rozmaici wróżbici przepowiadają, że zima tegoroczna będzie łagodna. Wskazuje na to przedewszystkiem doświadczenie, poparte datami historycznemi, że po zimach dotkliwych i po wielkich mrozach następuje długi okres zim łagodnych, a trzeba tu przypomnieć, że przeżyliśmy przed dwoma laty zimę niebywale srogą. Nieomylnym dla horoskopu na przyszłość był zawsze fakt, że łosoś składa ikrę w miejscach płytkich wtenczas, jeżeli zima następowała lekka i odwrotnie. W tym roku — jak donoszą — łosoś składa ikrę na miejscach nawet bardzo płytkich. Starzy górale są również w tem zgodni, że zima tegoroczna będzie miała przebieg łagodny.

Paradne mundury dla wojska. Gazety warszawskie podają, że w biurze historycznem ministerstwa spraw wojskowych opracowywane są projekty paradnych mundurów wojskowych, dla poszczególnych rodzajów broni, zarówno dla oficerów, jak i dla szeregowych. Projekty te będą rozpatrzone w najbliższym czasie przez specjalną komisję, przyczem wybrane wzory będą przedstawione do zatwierdzenia ministrowi spraw wojskowych. Przy ustalaniu wzorów mundurów paradnych biuro historyczne będzie miało na uwadze w pierwszym rzędzie dostosowanie ich do tradycji historycznej wojsk polskich głównie z czasów Księstwa Warszawskiego.

Wójt i b. poseł defraudantem. W ubiegłym tygodniu aresztowano b. posła z Wyzwolenia i wójta gminy Zembrzyce, Fidelusa. Jak okazała rewizja ksiąg gminnych, w kasie gminnej brakowało 1 300 zł. Zaznaczyć należy, że aresztowany był na trzecim miejscu listy Centrolewu, jako kandydat na posła do Sejmu z okręgu wadowickiego.

Świętokradztwo. Onegdaj wieczorem jakiś nieznany sprawca dostał się do otwartej zakrystji kościoła św. Marcina we Lwowie, skąd skradł dwa obrusy obszyte koronką, jeden welon batystowy z wyhaftowanym krzyżem, tacę mosieżną i pięć świec woskowych. Władze policyjne wdrożyły dochodzenia.

Żywcem spalony. W zagrodzie gospodarza Iwana Szaszkowa w Zwiniaczu ad Czortków, wybuchł pożar na skutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem. Ogień przeniósł się na sąsiednie zagrody i zabudowania gospodarcze i w rezultacie cała prawie wieś stała się pastwą płomieni. Nie brakło też ofiar w ludziach. Otóż w czasie pożaru usiłował niejaki Stefan Szatagryn wyprowadzić z płonącej stajni bydło i został przytem żywcem spalony. Cały szereg osób doznał poparzeń przy ratowaniu dobytku. Szkody materjalne są olbrzymie. Wielu ludzi zostało bez dachu nad głową. Poszkodowani zwrócili się do starostwa czortkowskiego o pomoc materjalną.

Fatalny sen. Tragiczny wypadek wydarzył się onegdaj w rodzinie Mojżesza Altnaja, majstra stolarskiego w Czortkowie. Sprawa przedstawia się następująco: Córce Altnaja przyśniło się onegdaj w nocy, że złodzieje włamali się do ich mieszkania. Obudziła się z wielkim krzykiem i poczęła wzywać pomocy. Na jej wołania wyskoczył z łóżka ojciec Altnaj, chwycił za opodal stojącą łatę drewnianą i począł pociemku szukać urojonego złodzieja. Zarazem wstał z łóżka dorosły syn Altnaja i uzbroiwszy się w ciężki kij, natrafił na swego ojca. Z powodu zalegającej ciemności ojciec z synem się nie rozpoznali i uważając się za złodzieji, poczęli się tęgo okładać kijami. Kres bijatyce położyła Altnajówna, zaświeciwszy lampę. Wówczas cała sprawa wyszła na jaw. Jednakże Altnajom daleko było do śmiechu, gdyż obydwaj doznali dotkliwych obrażeń w trak-

cie bijatyki. Cała ich złość skrupiła się teraz na Altnajównie, której fatalny sen spowodował tak smutny dla nich a zarazem komiczny wypadek.

Samobójstwo podoficera. Donoszą z Halicza, że wachmistrz 4 szwadronu pionierów, Sochanowski, rzucił sobie pod nogi granat ręczny, który rozszarpał go na miejscu.

Wielkie włamanie w Drohobyczu. Wielkie włamanie sklepowe miało miejsce w Drohobyczu. Ofiarą włamywaczy padł sklep jubilerski Jonasa Habermana, mieszczący się w Rynku głównym. Włamania dokonano w nocy między godziną pierwszą a trzecią. Sprawcy najpierw przeszli przez podwórze z tylnego skrzydła domu do sieni, a następnie do piwnicy. Tu w murze wybili otwór, wyjmując kilkanaście cegieł, poczem przepiłowawszy jeszcze otwór w desce, znaleźli się już w sklepie. Łupem włamywaczy padły drogocenne zegarki złote, pierścionki, kolczyki, papierośnice i rozmaite inne drogocenne przedmioty. Sprawcy usiłowali również rozbić kasę wertheimowską, na co wskazują rysy na ścianach kasy. Zaniechali jednak tego, obawiając się prawdopodobnie zwrócenia na siebie uwagi stróża nocnego, wartującego w pobliżu sklepu. Prócz wyżej wymienionych przedmiotów złodzieje skradli ponadto kilka drobniejszych rzeczy z wystawy. Według zeznań poszkodowanego ogólna szkoda wynosi blisko 30.000 zł. Towar nie był ubezpieczony. Kradzież zauważono dopiero wieczorem, gdyż sklep był przez cały dzień zamknięty. Natychmiast przybyła policja, która wszczęła energiczne dochodzenia. Na miejscu czynu znaleziono jedynie narzędzie: nóż szewski, którym sprawcy posługiwali się do rozbijania szuflad. Nóż ten naprowadził władze policyjne na właściwy trop. Ustalono bowiem, ze pozostawiony przez sprawców nóż pochodził z kradzieży z sąsiedniego składu skór Teppera, którą to kradzież popełniono rok temu. Sprawcy zostali wówczas wyśledzeni i zasądzeni przez sąd w Samborze. Po odsiedzeniu kary, jeden z sprawców owej kradzieży został właśnie niedawno wypuszczony na wolność. Dalsze dochodzenia prowadzi Wydział śledczy i jest nadzieja, że sprawcy zuchwałego włamania lada chwila znajdą się za kratkami.

Pod zerwanym dachem. W Stanisławowie wydarzył się wypadek, którego ofiarą padły cztery osoby. O godz. 8 rano wicher zerwał dach prowizoryczny, długości 20 metrów a szerokości 7 metrów na placu Trynitarskim i rzucił go na przechodzące trzy kobiety i mężczyznę. Dach zakrył całkiem przechodniów. Ludzie, którzy byli przy tem obecni, starali się podnieść dach, ale to było niemożliwe. Wezwano wobec tego straż pożarną i Pogotowie ratunkowe, które wspólnemi siłami dach podniosły. Wszystkie cztery osoby doznały ciężkich obrażeń.

Straszna zbrodnia na szosie. Szofer autobusu kursującego między Piotrkowem a Łodzią zauważył na szosie w pobliżu wsi Wola Rokszycka wóz chłopski, stojący w poprzek drogi. Gdy podszedł do wozu, oczom jego przedstawił się straszny widok. Na przodzie leżał nieprzytomny wieśniak ze strasznie zmasakrowaną głową. W autobusie znajdowało się kilku policjantów i lekarz, którzy zajęli się nieprzytomnym. Woźnicą — jak się okazało — był mieszkaniec pobliskiej wsi Józef Cerka. Po odzyskaniu przytomności zeznał on, iż jadąc zauważył, jak z rowu wysunął się jakiś osobnik, który następnie z tyłu wdrapał się na wóz i wielkim kamieniem zadał mu kilka silnych ciosów w głowę. Niedaleko od miejsca napadu policjanci znaleźli osobnika siedzącego w rowie przydrożnym. Okazało się, że płaszcz nieznajomego, jak również i ręce poplamione są krwią. Zbrodniarza, którym okazał się mieszkaniec Piotrkowa Trajdow, zakuto w kajdany i odwieziono do więzienia. Rannego Cerkę przewieziono do szpitala.

Z tęsknoty za dziećmi. Przed dziewięciu laty w Łowiczu zamieszkiwało małżeństwo, pp. Henryk i Janina Kołakowscy, których pożycie nie było szczęśliwe i małżeństwo rozeszło się. Dwoje dzieci zabrał p. Kołakowski, obecnie kapitan wojska polskiego, żona zaś jego przyjechała do Warszawy i wkrótce objęła posadę w Tow. akc. Fr. Karpińskiego. Jednakże tęsknota za dziećmi nie opuszczała kobiety i 7 b. m. pojechała do Łowicza, chcąc odwiedzić maleństwa. Mąż jednak nie pozwolił na odwiedziny. Wówczas zrozpaczona kobieta wróciła do Warszawy i postanowiła odebrać sobie życie. Mając stary rewolwer męża, strzeliła do siebie, raniąc się ciężko. Desperatkę w stanie bardzo groźnym umieszczono w szpitalu. Podczas przesłuchania, błagała usilnie przodownika policji, aby chociaż na kilka minut przed śmiercią mogła zobaczyć dzieci. Policja spełniła życzenie desperatki, nadając telegram do policji w Łowiczu, aby przywieziono dzieci do Warszawy i przyprowadzono je do łoża umierającej.

Zdziczenie. Władze śledcze powiadomione zostały, że we wsi Koźminek pod Kaliszem 16 letni Józef Olejczak tak dotkliwie pobity został przez swego ojca, iż w stanie groźnym przewieziono go do szpitala. Najciekawsze jest tło całego smutnego zajścia. Oto młody Olejczak zachorował na jakąś żołądkową chorobę. Miejscowy znachor orzekł, że skutkiem przebywania w złem towarzystwie chłopak nawiedzony został przez djabła, który ulokował się w żołądku chorego. Polecił też okładać żołądek szmatami, przesiąkniętemi naftą. Wskutek nieostrożnego obchodzenia się z naftą powstał pożar, który objął cały dom mieszkalny. Zrozpaczony Olejczak wpadł w gniew na syna za to przebywanie w złem towarzystwie, za tego djabła, którego sobie przypytał, no i za pożar, który djabeł wywołał, wchodząc w szmaty nafciane. Zbił tedy syna do utraty przytomności. Biedny chłopiec przypłacić może życiem ciemnotę swojego ojca.

Nowa świątynia w Toruniu. W Toruniu odbyła się uroczystość poświęcenia nowego kościoła zbudowanego w dzielnicy na Mokrem. Konsekracji dokonał biskup chełmiński, Okoniewski. Nowa świątynia może pomieścić około 5.000 osób.

Napad morderczy na dwór. Niewykryci sprawcy dokonali krwawego napadu na właściciela majątku w Wielkim Komorsku (pow. Świecie) Ferdynanda Fischera. Zamaskowani bandyci, pod groźbą rewolwerów, zażądali wydania im pieniędzy. Gdy Fischer odmówił żądaniu, padły dwa strzały rewolwerowe i napadnięty padł trupem na miejscu. Mordercy zbiegli. Policja prowadzi dochodzenie, przyczem dotychczas nie udało się jeszcze stwierdzić, czy bandyci po morderstwie zdołali dokonać jeszcze rabunku. Morderstwo wywołało wielkie wrażenie w całej okolicy.

Przekleństwo wróżki. W pewnej litewskiej wiosce doszło przed kilku dniami do krwawego starcia między mieszkańcami a oddziałem policyjnym. W toku walk siedm osób zostało zabitych, a około 35 zranionych. Przed kilku tygodniami zmarła w tej wiosce wróżka, która na łożu śmierci przeklęła wieś i jej mieszkańców. Kilku młodzieńców ujrzało w jasny dzień światło lampy w chałupie staruchy, zbliżyło się do okna i słyszało słowa strasźliwej klątwy. Zabobonna ludność czekała teraz z przerażeniem spełnienia się klątwy. Gdy od trzech tygodni zaczęły nawiedzać tę okolicę ulewne opady deszczowe, wieśniacy zaczęli przypisywać ten katastrofalny nadmiar deszczów klątwie wróżki. Postano-

wiono zatem otworzyć trumnę zmarłej wróżki i odwrócić zwłoki złośliwej kobiety twarzą ku dołowi. Gdy wieść o tym zamiarze doszła do sąsiedniego miasta, wysłano natychmiast do owej wsi oddział, złożony z kilkunastu policjantów. Policja jednak nie zastała nikogo we wsi, gdyż wszyscy znajdowali się na cmentarzu. Policja przybyła na cmentarz właśnie w chwili, gdy pięciu młodych mężczyzn zabierało się do otwarcia trumny. Ponieważ tłum nie chciał zrezygnować ze swego przedsięwzięcia, policja chciała użyć broni. Wówczas jednak chłopi zaatakowali policję, dwóch policjantów zabili, a innych skrępowali sznurami. Następnie fanatyczni wieśniacy otworzyli trumnę i dokonali tego, czego pragnęli. Tymczasem zawezwano na pomoc wojsko, które strzeliło do tłumu, zabijając 5 osób i raniąc przeszło 30. Przekleństwo wróżki spełniło się więc, ale winni temu byli sami mieszkańcy owej wioski.

Straszna katastrofa. W Lyonie, we Francji, wydarzyła się straszna katastrofa. Około godziny trzeciej nad ranem w tarasowatej dzielnicy St. Jean zawalił się nagle mur wzmacniający zbocze pagórka i runął na stojący obok szpitala dom pielęgniarek, zamieniając go w stos gruzów. Wskutek zawalenia się muru na długości około 80 metrów pozbawiony fundamentów cały szereg kamienic 5 do 7-piętrowych zaczął się obsuwać i walić. Najpierw runął hotel, grzebiąc pod sobą wszystkich we śnie pogrążonych gości. Akcja ratunkowa, którą natychmiast podjęto, była nadzwyczaj utrudniona, ponieważ ziemia obsuwała się w dalszym ciągu i uszkodzone budynki groziły zawaleniem. Z pod gruzów wydobyto 70 zabitych i 60 rannych. Wkrótce po podjęciu akcji ratunkowej runęła następna kamienica i zwaliła się na grupę strażaków i policjantów, zajętych wydobywaniem ofiar. Nie ocalał z nich ani jeden. Liczba ofiar nie jest dokładnie znana. W przybliżeniu podawana cyfra zabitych wynosi ponad 100 osób. Natychmiast po katastrofie przybyły na miejsce władze lokalne z burmistrzem na czele i zarządziły ewakuację wszystkich okolicznych domów. Obsunęło się około 20 tysięcy metrów kwadratowych ziemi i runęło 10 kamienic. Przyczyna katastrofy nie jest jeszcze znana. Przypuszczalnie chodzi o pęknięcie muru ochronnego pod naporem rozmiękłej od deszczów ziemi. Nawiedzona katastrofą dzielnica leży na wzgórzu Fourviere, powyżej dzielnicy kościołów. Ocalała natomiast stojąca na wzgórzu katedra, ponieważ zbudowana jest na skale. Natomiast runęły wszystkie stojące wokół budynki, zamieniając się w stosy gruzów i rumowiska.

Zaciekła walka rybaków z rekinem. Pamiętną przygodę przeżył w tych dniach mieszkaniec miasta chilijskiego Antofagasta, niejaki Lawrence. Lawrence udał się łodzią ze swym przyjacielem na połów rekinów. Silny sznur stalowy, odpowiedniej wielkości haczyk i kawałek mięsa były narzędziami łowów. Że towarzysz Lawrenca miał przy sobie rewolwer, było to, jak się później okazało, szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Wkrótce rekin schwytał przynętę, ale przyjaciele spostrzegli, że ryba była za wielka, aby ją można było wciągnąć do łodzi lub pociągnąć na lince do brzegu. Okaz, jak się okazało, miał 5 metrów długości, był to więc potężny potwór, z którym ledwo daliby sobie radę marynarze większego statku. Próby zastrzelenia potwora z rewolweru były beznadziejne, gdyż gruba jego skóra jak żelazo przepuszcza kule tylko w kilku miejscach. Zraniona ryba robiła potężne wysiłki, aby się wyswobodzić z wędki, wreszcie popłynęła na szerokie morze, pociągając łódź za sobą. Napróżno obaj rybacy próbowali uwolnić się teraz od ryby, łódź mknęła jak strzała coraz dalej. Nie posiadali oni tyle sił, co potwór rozdrażniony bólem. Musieli zdać się na łaskę losu i płynąć, dokąd rekinowi podobało się. Po 20 kilometrach podróży rekin postanowił zaatakować łódź. Próbował gwałtownemi uderzeniami ogona wywrócić ją. Obaj rybacy dokazywali cudów zręczności, byle nie dopuścić do przewrócenia łodzi. Położenie stawało się jednak z każdym momentem krytyczniejsze. Rekinowi udało się zdruzgotać w paszczy jedno z wioseł. Zmiażdżył on je, jakby to była jakaś huba. Przez długie 7 godzin trwała wyczerpująca walka ludzi z mieszkańcem głębin morskich. Nareszcie rekin stracił siły i legł na falach, przyglądając się spokojnie łodzi. Ten moment wykorzystał Lawrence, kierując lufę rewolweru w oko potwora. Celny strzał położył kres jego życiu. Teraz można już było, acz z trudem dociągnąć zabitą rybę do brzegu.



Na obrazku naszym widzimy podobną walkę nurka z rekinem w chwili, gdy nurek wbija mu nóż w gardło. Na dnie morza leży jakiś człowiek, którego rekin nie zdołał jeszcze pożreć, w dali widać pływającą olbrzymią rybę.

Szarża słoni na ulicach Londynu. Z okazji objęcia urzędu przez nowego lorda majora Londynu Neal'a odbył się przez ulice miasta tradycyjny pochód, przedstawiający życie narodowe różnych krajów Wielkiej Brytanji. W części pochodu, reprezentującej Indje, prowadzono cztery olbrzymie słonie, otoczone tłumem gapiów ulicznych. W pewnej chwili jeden ze słoni na widok wielkiego wypchanego lwa, niesionego obok w pochodzie, wpadł w szał i rzucił się w tłum ludzi, pociągając za sobą i trzy pozostałe słonie. W niesłychanym popłochu, wywołanym tem zajściem, 25 osób zostało stratowanych, odnosząc lżejsze i cięższe rany. Trzy osoby odwieziono w stanie groźnym do szpitala. Gdyby nie przytomność umysłu prowadzących słonie, którym z narażeniem własnego życia udało się jeszcze na czas

powstrzymać rozszalałe zwierzęta, rezultaty zajścia byłyby naprawdę tragiczne.

Czerwony samochód i byk. Jak wiadomo, niektóre zwierzęta nie znoszą czerwonych barw. Barwa czerwona drażni najbardziej byki i indyki. Było to, już nieraz powodem nieszczęśliwych wypadków. O podobnem zdarzeniu donoszą z Udine we Włoszech. Drogą przejeżdżał tam czerwony samochód. Gdy zobaczył go byk, pasący się przy drodze, tak rozgniewał się tym widokiem, że rzucił się na przechodzące wieśniaka i przebił mu brzuch rogami. Nieszczęśliwy zmarł natychmiast.

Pobicie konsula włoskiego. Na konsula włoskiego w Tuluzie we Francji dokonano napadu, który był dziełem organizacji antyfaszystowskiej. W chwili, gdy konsul opuszczał kościół po nabożeństwie z okazji rocznicy zawieszenia broni, został on nagle napadnięty przez grupę antyfaszystów. Dzięki interwencji otoczenia konsula i nadejściu agentów policji, zdołano go obronić. Jednakże w chwili, gdy konsul dziękował ukłonem faszystowskim za okazanie pomocy, napastnicy rzucili się nań ponownie i ciężko go poturbowali. Policja zdołała z wielkim trudem wyrwać konsula z rąk jego prześladowców. Kilku przywódców antyfaszystów aresztowano.

Przepowiadacz końca świata. W Ameryce został aresztowany wyrafinowany oszust, który zawodowo zajmował się przepowiadaniem końca świata. Dobrał on sobie dwunastu towarzyszy, z którymi obchodził wsie i namawiał do porzucenia ferm i pójścia za nim, gdyż już niedługo ziemia przestanie istnieć. Ponieważ „prorok" i jego towarzysze potrzebowali żyć, więc od „nawracanych" pobierali 500 dolarów. Wszyscy, którzy wykupili taki „abonament" mieli otrzymywać, (dopóki ziemia jeszcze istnieje i dolary też) pełne utrzymanie. W przeddzień „końca świata" ów „prorok" wraz z towarzyszami znikł. Gdy to spostrzegli „nawróceni", zawiadomili o tem policję. Aresztowano go. Nazywa się John Alabame. Zdążył on jednak kupić sobie elegancką fermę, w której mieszka rodzina „proroka".

RZECZY CIEKAWE.

Rekordzista w paleniu tytoniu.

W szeregu wszelkiego typu dziwacznych konkursów znalazł się ostatnio konkurs dla palaczy papierosów. Odbył się on w stolicy Bułgarji, Sofji i zgromadził kilkuset współzawodników, ubiegających się o tytuł najwytrwalszego i najszybszego palacza. Regulamin tego konkursu przewidywał współzawodnictwo zarówno na czas jak i na ilość. W olbrzymiej sali jednej z najwytworniejszych kawiarń pod okiem złożonego z fachowców jury i specjalnej komisji lekarskiej zasiadło przy stolikach 373 zawodników. Szampjonat zdobył niejaki Borys Casioff, 26-letni handlowiec, który w ciągu dziesięciu godzin zdołał wypalić 144 papierosy bez ustników, wypijając przy tem co godzinę filiżankę mocnej czarnej kawy. Po rozstrzygnięciu konkursu „mistrz" zbadany został przez komisję lekarską, która jakoby stwierdziła, że nie ujawniła u niego żadnych zaburzeń wewnętrznych organizmu, mimo wchłonięcia tak znacznej ilości nikotyny. Że jednak ten dziwaczny konkurs komuś — dziej skradł ptaka z postawionej na chodniku klatki. że biorący w nim udział współzawodnicy wypalili 18.697 papierosów.

Fatalna papuga.

Do niezwykłego skandalu rodzinnego doszło w Chicago, z powodu papugi.

Bardzo zamożny właściciel pewnej tamtejszej szkoły muzycznej ofiarował swej narzeczonej, pannie, która nie odznaczała się dostatkami, kosztowny pierścień. Panna, nie mogąc odwdzięczyć się narzeczonemu równie cennym podarunkiem, a wiedząc, że muzyk przepada za ptakami, posłała mu w podarunku ulubioną swą papugę, którą sama wytresowała i nauczyła mówić.

Muzyk polecił służącej, która przyniosła mu papugę, pięknie podziękować pannie za tak miły podarunek, poczem, ustawiwszy klatkę z papugą na werandzie willi, w której mieszkał, pośpieszył na miasto do swej szkoły.

Jakże się jednak zdziwił, gdy powracając wieczorem do domu, zastał dwu policjantów, czekających na niego. Panowie ci aresztowali zdumionego muzyka i zaprowadzili go do komisarjatu, gdzie rzecz cała wyjaśniła się w sposób niezmiernie przykry dla właściciela papugi. Okazało się bowiem, że gadatliwy ptak uprzyjemniał sobie samotność przymusową wygadywaniem wierszem i prozą rzeczy tak ordynarnych i nieprzyzwoitych, że wywołał zgorszenie całego sąsiedztwa, które w końcu zwróciło się do policji o interwencję.

Naturalnie, oburzony i zawiedziony muzyk pobiegł natychmiast do narzeczonej, żądając od niej wyjaśnień, a choć panna zaklinała się ze łzami w oczach, że tego, co się stało, wprost nie rozumie, nie uwierzył tym zapewnieniom i zerwał z narzeczoną, gdyż papuga przez nią wyłącznie chowana, mogła się od niej nauczyć sprośnych przekleństw i piosenek.

Wziął nawet tak do serca śmieszność, na jaką naraziła go fatalna papuga, że nie pogodził się z panną nawet wówczas, gdy wyszło na jaw, iż winna wszystkiemu jest służąca, której polecono odnieść papugę.

Dziewczyna ta, niosąc klatkę z papugą do muzyka, spotkała po drodze przyjaciółkę i tak się z nią zagadała, że nie zauważyła nawet, jak zręczny złodziej skradł ptaka z postawionej na chodniku klatki.

Spostrzegłszy brak papugi, zrozpaczona dziewczyna uznała za najlepsze kupić podobną papugę i zanieść ją muzykowi.

Tak też uczyniła. Handlarz ptaków ustąpił jej bardzo tanio ptaka, którego sam się chciał pozbyć, przekonawszy się, jak źle papuga ta jest wychowana przez poprzedniego swego właściciela.

Rozumna uchwała londyńskiej Rady miejskiej.

Londyńska Rada miejska uchwaliła, że największa wysokość domów, wznoszonych na terenie olbrzymiej metropolji Anglji, nie może przekraczać osiemdziesięciu stóp (25 m. 92 cent.), nie licząc ozdób architektonicznych i wieżyczek.

Rozumną tę uchwałę, wobec której Londyn nie pójdzie śladem Nowego Jorku lub innych miast amerykańskich, wywołały względy tak zdrowotne jak i bezpieczeństwa publicznego.

Domy zbyt wysokie uniemożliwiają, jak oświadczył jeden z rzeczoznawców przedstawicielowi „Timesa", utrzymanie wentylacji odpowiedniej w podwórzach wewnętrznych i zachowanie warunków zdrowotnych. Pozatem brak ciśnienia w rurach wo-

dociągowych na znacznej wysokości wytwarza niebezpieczeństwo w razie wybuchu pożaru. Nagromadzenie wielkiej liczby osób w domach wysokich pociąga za sobą trudności komunikacyjne na przeludnionych ulicach.

Niejeden z olbrzymich nowojorskich „drapaczów chmur" mieści w swych biurach i składach do 10.000 osób, tworząc prawdziwe miasteczko. Gdyby nawet w razie pożaru lub jakiej katastrofy żywiołowej, udało się opróżnić szczęśliwie gmach taki z osób w nim przebywających, to tłum ten, wyrzucony odrazu na ulicę, nie zmieściłby się na niej, wywołując nową katastrofę.

Wobec słusznych tych względów, londyńska Rada miejska postanowiła nie dopuścić do budowy „drapaczów chmur" w stolicy Anglji.

Przykład wart naśladowania.

Literatura wartości półtora miljarda.

Bibljoteka niemiecka w Lipsku, ogromna instytucja z setkami tysięcy książek, chciała obliczyć na podstawie swego doświadczenia roczną wartość produkcji literatury niemieckiej. Urzędnicy, zajmujący się tą pracą, doszli do wniosku, że cena książek, wydanych w Niemczech w ciągu roku, wynosi 200.000 marek, cena dzienników — 150.000, przyczem uwzględniano z każdego nakładu jeden egzemplarz. Przeciętna liczba książek — 3.000 egz., dzienników — 6.000. Cena więc wszystkich tych nakładów ogółem wynosi 1 i pół miljarda marek niem., t. j. około 3 miljardów złotych polskich, 20 miljardów dynarów, 50 miljardów lei. Dodać należy, że ceny powyżej wymienione są cenami sprzedażnemi, możliwem jest więc, że w rzeczywistości książki te nie są tyle warte.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs w dalszym ciągu otrzymaliśmy następujące utwory: „Tęczowy promień", „Z miłości", „Banialuki", „Ratunek", „Autorska recepta", „Zakład", „Morderstwo, którego nie było", „Poświęcenie".

Pp.: **Jacek Orlik** w L.: „Ścieżki Bronka Witosa" i „Spotkanie" zamieścimy. — **Piotr Wenc** w S.: Artykulik o św. Stanisławie Kostce przyszedł niestety zapóźno. — **Józef Górecki** w K.: Do nadesłanych nam rebusów brak rozwiązań, więc trudno osądzić, czy dobre. Po nagrodę najlepiej zgłosić się osobiście u p. Kowalczyka w Drukarni „Czasu". — **K. Burkot** w T.: Na wszystkie te dolegliwości najlepszej rady udzieli lekarz specjalista. Nasza rada na odległość, zamiast pomódz, mogłaby jeszcze zaszkodzić. — **Paweł Smrek** w Ż.: Reklamować stowarzyszenia, którego jeszcze niema, nie możemy. Gdy powstanie a da się poznać z szlachetnej działalności, to chętnie je popierać będziemy. — **Piotr Glica w S. G.:** Z nadesłanych zagadek skorzystamy. Rękopisu powieści, o której Pan wspomina, nie otrzymaliśmy, widocznie jej autor nie wykończył. Co do uleczenia dziecka to tylko lekarz może osądzić. Są wypadki, że z takiej choroby dzieci jeszcze wychodzą. — **128—33:** Legendę o śniegu zamieścimy. — **Kazimierz Olechowski** w N.: Niech Pan nie tęskni tak za miastem. Ma ono wprawdzie swoje przyjemności, ale znacznie więcej ma ich wieś. Cóż znaczą wszystkie sztuczne rozkosze wobec tych rozkoszy, jakie daje przyroda? Na wsi ma Pan dalekie przestrzenie przed swem okiem, w mieście zaś ciągle jedne i te same szare mury kamienic. Co za cuda na wsi, gdy wiosną rozśpiewa się tysiące ptasząt, a łąki i pola okryją się zielenią i kwiatami! W mieście natomiast ciągła szarzyzna i szarzyzna i tak nieraz smutno, że się żyć nie chce. Niema za czem tęsknić, oj niema! — **Bryndzki** w K.: Obydwa artykuły dla „Roli" za długie. Są do zwrotu w Administracji. — **St. Słomka** w S.: O ile będą rzeczy dobre, chętnie wydrukujemy. Nadesłany wierszyk zamieścimy w miarę miejsca. — **Józef Bawołek** ogł. 2 zł.

Unieważniam zgubioną książeczkę wojskową na nazwisko Józef Bawołek, urodzony w roku 1904, wydaną przez P. K. U. Nowy Sącz.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ Napój.
■ ☆ ☆ ☆ Sprzęt domowy.
■ ☆ ☆ ☆ Biblijny budynek.
■ ☆ ☆ ☆ Pani inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzęta domowe (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie żydowskie.
■ ☆ ☆ ☆ Daje ogień w nocy.
■ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ Służy do bandażowania.
■ ☆ ☆ ☆ Tatarskie wojska.
■ ☆ ☆ ☆ Surowy metal.
■ ☆ ☆ ☆ Następstwo winy.
■ ☆ ☆ ☆ Szata liturgiczna.
■ ☆ ☆ ☆ Mieszkanie myszy.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanego, zmarłego już, poety podhalańskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Józef Weber z K.).

I.

Pierwsza druga to gra znana
Zagranicą używana,
Pół pierwszego z „E" literą
Drugi pierwszy trzeci
To piękny półwysep nie powiem waszeci,
Całość taniec staropolski,
Który tańczył niegdyś Wojski.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

II.

Byłem u trzeciej czwartej, co mieszka [w Tarnowie,
Po adres do „Roli". Ona dwa odpowie:
„Trzecia tej pierwszej czwartej jest ona [w Krakowie.
Bo następne ogłoszenie zamieścić mam [w głowie:
„Sprzedam dużo całości, są czerwone, [zdrowe,
Okrągłe, do użytku natychmiast gotowe.

3. Szarada literowa.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

Gdy szaradę rozwiążecie,
Napewno raz dwa powiecie,
Żem wam pięć—sześć dobrze radził,
Żem was w całość zaprowadził,
Które raz—trzy domów wiele —
Więcej niż jest w jednem siele;
Ponad cztery—pięć—sześć jeszcze!
Dwa zgadniecie już nareszcie!.

4. Rebus bez obrazków.

(Ułożył Adam Galer z K.).

Kwiat + wykrzyknik + samogłoska + zaimek + przeczenie + spółgłoska + rzeka + nuta + sztuczny człowiek + samogłoska = przysłowie.

5. Układanki.

(Ułożył Franciszek Kawczak z O.).

Pani + spółgłoska + samogłoska = ?
Ptak + posiada = ?
Imię żeńskie + cecha twarzy + spółgłoska = ?

Układanki dadzą imiona męskie.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 45 „Roli": 1. Logogryf: Szymon Konarski. 2. Układanka konikowa: Prawdziwe bogactwo to ziemia. 3. Kalambury: I. Wieprz. II. Hipopotam. III. Kasza. 4. Układanki: Renta-herbata-gromada-Grabski-Matuszewski-uwertura-tytan-towaroznawstwo.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Władysław Gąsienica z Z., Józef Cieplik z K., Franciszek Niedbała z T., Piotr Glica z S. G., Stefanja Smagowicz z K., Jan Gara z W., Józef Górecki z K.

Nagrody wylosowali pp.: Stefanja Smagowicz z K. i Władysław Gąsienica z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przy zgodzie.

— Moja kochana, wydajesz mi się trochę za młodą, jak na kucharkę... A masz też jakie świadectwo?

— Owszem mam, z dziewiętnastu służbów, proszę pani.

Jedno po drugiem.

Kelner: Panie, goście wszyscy uważają, że potrawy za mało słone.

Gospodarz: Tak? No, to niech jeno zaczekają aż im rachunek przedłożę!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 14 listopada b. r.

Pszenica	26·50—27·00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	20·00—20·50	Ziemniaki stoł.	5·20—5·50
Owies . .	20·00—21·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	20·00—20·50		
Fasola biała	44·00—46·00	Mąka żytnia	35·50—36·00
Groch zwyk.	32·00—38·00	Mąka pszen.	55·50—57·50
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	12·50—13·00
Łubin żóły	25·00—26·00	Otręby żytnie	11·50—12·00
Koniczpastew.	14·00—15·00	Mąka czerw.	15·00—16·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 14 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·90 do 1·27 zł.	Jałownik	od 0 88 do 1·25 zł.
Woły . .	od 0·90 do 1·30 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1 92 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·15 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizne	1·60 do 2·10 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 2·00 do 2.40

Aksamit.

— A cóżeście mi dali, pani Maciejowa — zawołał wyrobnik, wyciągając jakąś szmatę z kupionego właśnie barszczu.

— Jaki mądry! — odrzekła restauratorka — onby chciał za dziesięć groszy z aksamitem barszczu!

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.